



Stefania Szantyr-Powolna

część III z III

Sygnatura notacji: **N0760**

Data urodzenia: **30.07.1924 r.**

Data nagrania: **24, 25.03.2014 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Piotr Wiejak, Tomasz Piotrowski, Rafał Pękała**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 64 min, część III: 58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stefania Szantyr-Powolna: Chciałam wrócić znowu do tego obozu jeszcze w Sediu, bo to mi tak się skojarzyło też z tym przypadkiem. Którejś nocy przyszedł do mnie strażnik obozu i powiedział, że wzywa mnie naczelnik obozu do siebie, no więc wstałam, ubrałam się i strażnik zaprowadził mnie. Wprowadził mnie do jakiegoś pomieszczenia, które mnie bardzo zdziwiło, bo przypominało bardziej jakąś fryzjernię czy coś, bo wisały duże lustra, jakieś stoliki. Taki młody człowiek. Strażnik zostawił mnie tam u tego [naczelnika], powiedział, że po tym wróci po mnie, jak będzie sygnał. Ten człowiek, który tam się znajdował w środku, zamknął drzwi na haczyk - stąd mi się skojarzyło, jak opowiadałam o prokuratorze - zamknął drzwi na haczyk i zaczął mi mówić, że w obozie są takie zwyczaje, że jak przyjeżdżają kobiety i spotykają jakiegoś mężczyznę, który jest jakoś sytuowany, ma jakąś możliwość zabezpieczenia, żeby ta kobieta nie była głodna i nie była po prostu źle ubrana, że wtedy łączą się w pary i że są ze sobą jak małżeństwo, że on właśnie jest takim, który dobrze zarabia, jest dobrze sytuowany, on tutaj ma dużo do powiedzenia w tym obozie, i on sobie mnie upatrzył, żebym ja się zgodziła zostać jego taką niepisaną żoną. No to ja... bo ta dumna Polka to zawsze jednak swoje te rogi pokazywała, pamiętam, jak to musiał on to ocenić - wyprostowałam się i powiedziałam, że on nie zna Polek, że żadna Polka w takie układy nie... na takie układy się nie zgodzi, że nasze Polki zawierają wszystkie ślub w kościele, że sobie normalnie musi łączyć miłość. Roześmiał się niesamowicie. Sobie wyobrażam, on, który już tam recydywista, ileś lat spędził w obozie, jak go rozśmieszyła taka wypowiedź takiej, powiedzmy, no wtedy już miałam tych dwadzieścia lat, ale powiedział, żebym się namyśliła, że on będzie czekał, żebym to sobie jeszcze przemyślała. Zawołał strażnika, strażnik mnie odprowadził do baraku. Byłam wstrząśnięta, poruszona tym, ale rano rzeczywiście przyszedł po mnie znowu strażnik, że jednak rzeczywiście naczelnik obozu mnie wzywa. I był obecny naczelnik obozu i tak zwany politruk, to nie wiem, to ta część polityczna czy coś, drugi taki, i zaczęli mnie pytać, gdzie ja byłam

w nocy. Ja powiedziałam, że przyszedł po mnie strażnik, mówiąc, że mnie wzywa naczelnik obozu. Prosił, żebym opisała, jak to było. Powiedziałam, jak to było właśnie w szczegółach, że ja co mu powiedziałam, że żadna z Polek się nie zgodzi, że on się roześmiał, a ten naczelnik do mnie mówi: „Dziecko, nie wiem, jakie szczęście masz w życiu, czy to rzeczywiście wasz Bóg, czy wasza matka wymodliła, bo to jest największy bandzior tu, w tym obozie i nikt nigdy nie śmiał jemu odmówić”, i prosił, żebym nigdy - i tak mnie uczulił - nigdy, jak będę wzywana do naczelnika, nigdy, to na pewno nie będzie w nocy, najwyżej w dzień, i to rzeczywiście do naczelnika, nie do żadnej pracowni. Tak że takie dwa przeżycia miałam właśnie w tym obozie Sediu, i tak mi się skojarzyło właśnie, jak opowiadałam o tym prokuratorze.

Tomasz Piotrowski: Właśnie, dlaczego panią przenieśli z tego obozu spod Łuchty, dalej?

Stefania Szantyr-Powolna: Dlatego, że ja miałam właśnie po tej Wigilii, którą urządziłam, że ja jestem taka buntowniczką i wtedy nie miałam... miałam ten karczer, miałam zabronioną sprawę korespondencji z domem i miałam wtedy już orzeczenie karnego obozu. Czasami były takie funkcje, które pozwalały niektórym więźniom wychodzić za obręb obozu, na przykład jak dowozili wodę, czy pomagali przewieźć tam jakąś żywność do obozu, to wtedy tacy rzeczywiście mieli ten kontakt czasami z osobami, które tam mieszkaly. Wyobrażam sobie, że były na zesłaniu w tej okolicy, ale Syktywkar to było miasto...

Tomasz Piotrowski: Tak.

Stefania Szantyr-Powolna: ...to była stolica koni, a muszę powiedzieć, że do Syktywkaru w ogóle nie prowadziły żadne koleje, tam tylko można było się samolotem dostać, po paszport tam leciałam właśnie.

Tomasz Piotrowski: Albo wodą.

Stefania Szantyr-Powolna: No ale leciałam samolotem. Do pobytu w Workucie, i tak muszę powiedzieć właśnie, że tam spotkałam się z dużą życzliwością też osób, z takimi bardzo solidnymi ludźmi. Zresztą muszę powiedzieć, że ja tam chorowałam pięciokrotnie na zapalenie płuc, więc byłam w szpitalu nieraz i wtedy wykorzystywano moje umiejętności laborantki i wtedy coś tam robiłam. Pamiętam, jak naczelnik obozu chyba lubił [mnie] odwiedzać, może darzył mnie sympatią, w każdym razie rozmawiał ze mną, wypytywał, a kiedy wyszedł, to znalazłam na stoliku jabłuszko, tak że takie odruchy były jakieś nieraz serdeczności, wskazywane przez niektórych tych ludzi, którzy w zasadzie niby potępiali nas, prawda, bo Ukrainki, które były, niektóre były bardzo sympatyczne. Byłam zaprzyjaźniona z jedną, bo w tamtym okresie byłam tylko jedyną Polką, a będąc właśnie jeszcze jako jedna Polka i nie mogąc rozmawiać po polsku, wychodziłam nieraz przed barak i sama do siebie mówiłam różne wiersze, ponieważ wtedy była jednak ta tendencja, żeby młodzież uczyć wierszy, więc ja dużo rzeczy pamiętałam, więc często z „Pana Tadeusza” sobie zresztą najczęściej lubiłam mówić taki „Wiersz do matki” Or-Ota, który zawsze mnie... to był list do matki z Sybiru. Tak że mówiłam po polsku do siebie, ale były wokół mnie Ukrainki, i Ukrainki nieraz, które nas nienawidziły. Na przykład pamiętam też taką scenę: byliśmy gdzieś z brygadą, gdzieś w mieście, coś sprzątałyśmy, coś robiłyśmy. Zatrzymał się koło naszej, niedaleko naszej brygady jakiś mężczyzna, zaczął rozmawiać - rozmawiał z jedną Ukrainką, ale

widocznie zwrócił na mnie uwagę, bo zapytał tę Ukrainkę: „A powiedz mi, jak się nazywa ta twoja podruga, która tam koło ciebie stoi?”, a ona mówi: „To nie jest żadna moja podruga, to jest wróg ojczyzny, wróg narodu, których trzeba tępić”. Tak, tak. I wówczas on się roześmiał i mówi: „A skąd ona?”. „Z Polski”. Okazało się, że to był Polak. Tak. I wtedy zresztą rzucił mi jakiegoś cukierka, którego ja nie przyjąłem. Powiedziałam: „Tak nie można nas traktować”. Taka byłam dumna. W każdym razie właśnie Ukrainki nas tam niektóre nienawidziły. Okazało się, ta [Ukrainka], Frosia się nazywała, ona była w wojsku, była też na tym froncie koło Berlina, no i oni nas bardzo nie cierpieli, ale poza tym właśnie z taką jedną Anią, Ukrainką, to bardzo się tak przyjaźniłam. Ukrainki opowiadały tam, właśnie jedna z nich, że do ich domu tam gdzieś koło Kijowa przyjechał Rokossowski kiedyś w odwiedziny i był przemity - częstował dzieci cukierkami, że w ogóle wszyscy byli zachwyceni. A tak à propos Rokossowskiego to mówiono o tym, że Rokossowski był kiedyś komendantem obozu właśnie koło Workuty i że Stalin go stamtąd, z tych obozów ściągnął wtedy do armii. No i tak, tamte dni moje na Workucie się toczyły, aż któregoś dnia powiedziano mi, że zbliża się koniec mego pobytu w obozach i zabrano mnie na tak zwaną pretszawkę, na której byłam krótko, a po tym skierowano mnie... jak się ten obóz nazywał, to już nie wiem, ale w każdym razie to był męski obóz, na terenie którego był taki budynek murowany, i w tym budynku byli ci, którzy byli przygotowywani do wyjścia, do załatwiania dokumentów, bo te wszystkie archiwa właśnie znajdowały się tam przy tym męskim obozie. Na Wietłosianie ja sobie dałam słowo honoru, że zostanę lekarzem, bo prawie... w mojej obecności umierał jeden z kuzynów Ruszczyca, który zmarł na oddziale gruźliczym, potem na oddziale internistycznym umierał też Polak na raka żołądka - prosił jeszcze, żeby w jakiś sposób przemyć listy do rodziny, żeby za żonę wysłać. Próbowałam to robić. Nie było możliwości leczenia, nie było leków w ogóle żadnych. Nie było, dopiero się pojawiała penicylina na świecie, tak że to były takie drastyczne momenty. Właściwie nie było czym leczyć, a byli chorzy, tak że tylko penicylina najbardziej mogła, powiedzmy, pomagać. To było tak. Tam, na Wietłosianie umierało sporo osób, umierało z niedożywienia. Ja sobie przypominam, że jeszcze w tym obozie Sediu to były takie głodowe te porcje, że myśmy miały te głodowe obrzęki - na przykład wstawaliśmy rano, miałyśmy nogi słoniowe, nie mogłyśmy włożyć tych łapci, bo nam się nie mieściły, nogi jak słupy, albo obrzęk taki twarzy, że oczu nie było widać, albo brzuchy takie, że nie mogłyśmy dopiąć spódnic. I taki lekarz, który prowadził w ten sam czas ambulans, to przemycał dla nas witaminy, żebyśmy mogły, bo miałyśmy szkorbut i miałyśmy właśnie tę cyngę słynną, i miałyśmy te niedobory białkowe bardzo silne.

Tomasz Piotrowski: Czyli cynga i szkorbut to różne choroby?

Stefania Szantyr-Powolna: To samo, to jest to samo. Tak że nawet tu jeden z tych, którzy byli, więźniów, tylko przede mną wyjechał, pan Dobrzański chyba, opisywał w takim rozdziale cyngę, jak to wyglądało, i opisywał zresztą ten szpital w Wietłosianie, w którym po tym ja byłam. Na Wietłosianie próbowano nas karmić jednak trochę witaminami, jakoś próbowano, zwłaszcza personel medyczny na terenie szpitala, ale śmiertelność była duża. Był taki specjalny oddział, jak on się nazywał po polsku? Po rosyjsku to dochodiagi, nie wiem, jak to po polsku nazwać. Tam były bardzo często właśnie z tego niedożywienia biegunki nie do opanowania, te obrzęki nie do opanowania i ludzie tam umierali. Dużo umierało osób w obozie. Jak to wyglądało? Po prostu byli wywożeni za teren obozu i gdzieś grzebani. Nawet nie wiemy. Ja już po tym, będąc na wolności, na Workucie uczestniczyłam w dwóch pogrzebach. Ja nie byłam świadkiem momentów kar za ucieczki. Wśród kobiet chyba się nie zdarzały, nie miałyśmy na to odwagi, ale z opowiadań wiem, jak te próby ucieczki wyglądały w obozach. Między innymi uciekał brat, pan zapewne miał kontakt z Natalią

Zarzycką. Nie? Ona była też na Workucie, jej brat był też w jednej z kopalń i oni jeszcze z drugim kolegą uciekli. Zdawało się, że uda się to wszystko pomyślnie, ale niestety, tajga, tundra robi swoje. Psy wytropiły niestety, znalazły ich w tej tundrze, zostali zastrzeleni i ciała były trzymane przez parę dni przy wrotach, przy wejściu do obozu, żeby wszyscy mogli oglądać, jak wygląda kara za ucieczkę, tak że rozstrzeliwano takich. No więc właśnie tych, którzy mieli jeszcze, bo to zawsze wiązało się z załatwieniem jakiejś dokumentacji, widocznie te biura dokumentacyjne były przy tym męskim obozie, w każdym razie to był taki budynek, gdzie nas tam zbierano. Wtedy nas tam było ileś kobiet, nie pamiętam, ale z kilkanaście chyba. To były też kryminalistki, były różne, ale jak się dowiedzieli mężczyźni, że w środku są kobiety, to zaczęli demolować ten płot otaczający ten budynek, dostali się na dach, zaczęli rozbierać dach i już właściwie stojący dach rozebrali i zaczęli rozbierać to, co było naszym sufitem w tamtym [baraku]. No myśmy krzyczały potwornie i wtedy przyszedł cały oddział żołnierzy i pod groźbą strzelania ci bandyci wszyscy, a oni krzyczeli z góry, że: „To będą dziewczyny nasze, że my je pogwałcimy, że my wreszcie użyjemy”, w każdym razie w ten sposób oni uratowali wejście tych bandziorów już z dachem rozebrany. No i tak było, a mnie zaprowadzono do pokoju, gdzie pokazano mi mnóstwo paragrafów, jakichś tam papierów i taki papier do podpisania, że ja będę właściwie obywatelką, mieszkanką Workuty i obywatelką Związku Radzieckiego. Ja powiedziałam, że ja tego nie podpiszę - na to mi powiedziano, że to może się skończyć tym, że ja w ogóle z obozu nie wyjdę. Ja powiedziałam: „No to nie wyjdę. Ja czegoś takiego nie podpiszę”. I nie podpisałam, i mnie cofnięto do obozu. I muszę powiedzieć, że mnie ten moment cofnięcia do obozu często w moich koszmarach [dręczy], oprócz tych morderstw, obok tego używania siekiery przy mnie, kiedy zabito tę dziewczynę, ten moment cofnięcia do obozu mnie się nieraz śni, jak ja mam jakieś kłopoty. Śni mi się, że dochodzę do furki prawie tej, a jednak mnie cofają. Ja sobie tam wiele przemyślałam, bo jeżeli za to, że ktoś tam oglądał film i powiedział, że amerykański mu się bardziej podoba niż sowiecki, za to miał wyrok; jeżeli coś powiedział, że mu się coś tam nie podoba we władzy, też dostawali wyrok, no to za takie nieposzanowanie szczytu, że ja zostanę obywatelką, no to rzeczywiście groził mi wyrok. Ja chyba przesiedziałam jeszcze tydzień w obozie w tych mieszanych różnych uczuciach, i potem wezwano mnie znowu przed oblicze i wtedy dano mi do podpisania papier, że ja czasowo mieszkam na Workucie, to coś takiego mogłam podpisać, i wyszłam, wyszłam na tę oczekiwaną wolność. Nie byłam więźniem, ale byłam zesłanką w tym momencie. Spotkała mnie taka zaprzyjaźniona jeszcze ze mną w obozie Janka Zuba, która wcześniej wyszła, i to zawsze były jakieś nici jakieś takie, informacje dochodziły, kiedy kto wychodzi, ona mnie spotkała i na początku zamieszkałyśmy w takiej rodzinie, która mieszkała w Workucie. To była rodzina... ten pan nazywał się Bolesław Poznań. Przez pewien czas tam mieszkaliśmy, a po tym dostałam pracę na terenie osiemnastej kopalni. Tam dostałam pracę w laboratorium, tam na początku zamieszkałam u państwa Jackiewiczów. To była taka już rodzina zesłańców, mieli dwójkę dzieci, dwójkę chyba, tak, wtedy. Pani Stasia to była siostrą medyczną na terenie kopalni, a pan... jakie jego imię było, Boże. Pan Jackiewicz. Chyba nie Stanisław. W każdym razie on pracował na kopalni. Bardzo serdecznie wtedy się mną zaopiekowali, znaleźli dla mnie wtedy taki maleńki, maleńki pokoik, który miał chyba szerokości dwa może i pół metra, a długości jakieś trzy i pół metra. W tym pokoiku dostałam tapczan, który się rozkładał i na ten tapczan jeszcze przyszły moje koleżanki i myśmy we czwórkę w poprzek tak na tym tapczanie spały i mieszkały, miałyśmy tylko kącik koło drzwi, gdzie był jak gdyby taki piecyk, na którym mogłyśmy coś ugotować, i tam nasze rzeczy, i to było tak pomieszczenie kochane i miłe, w tę czwórkę mieszkaliśmy, spałyśmy, i pamiętam, że otwieraliśmy na noc lufcik, żeby dobrze przewietrzyć i kiedy wysunięty palec zamarzał, to był czas, żeby zamknąć lufcik, i myśmy tak zasypiały. W tym małym pomieszczeniu nawet ksiądz Drzepecki, który był wtedy tam na zesłaniu razem, odprawiał mszę, u nas w tym pokoiku też odprawił

w Niedzielę Palmową kiedyś nabożeństwo. I tak to życie [płynęło], tam pracowałam w laboratorium, po tym jedna koleżanka to była chorowita bardzo, ale jeszcze druga, Muszka, pracowała też na kopalni w sortowaniu węgla, gdzieś na taśmach, tak że mieszkaliśmy tam razem i byliśmy często zapraszane na różne odwiedziny - to do państwa Weberów, pan Weber robił bardzo dużo zdjęć z naszego życia tam właśnie, albo do państwa Jackiewiczów.

Tomasz Piotrowski: Późniejszy Jan Weber?

Stefania Szantyr-Powolna: Edmund Weber. I [chodzyliśmy] do państwa Jackiewiczów, tam spotykaliśmy się też z różnymi osobami. Pamiętam, jak 22 maja są imieniny Heleny. Byli tacy państwo, ona była Żeromska, pani Helena Żeromska, mieszkali na jakimś takim posiołku, i tam się zebrało mnóstwo ludzi. To nie było tak, że byli wszyscy zapraszani, ale jak ktoś wiedział, że na przykład tam się spotykamy, czy ten ktoś ma imieniny, to wtedy kto mógł, to tam ciągnął i ciągnął jeszcze jakiegoś znajomego, i tam u pani Heleny chyba z setka tych się znalazła naszych rodaków. Oczywiście nie mieściliśmy się w baraku, tylko gdzieś już na zielonej trawce, był akordeon, śpiewaliśmy nasze pieśni patriotyczne. I tego dnia, kiedy wróciłam do tego pokoiczku na tej kopalni osiemnastej, to znalazłam przywieszkę taką na drzwiach wzywającą mnie do gmachu NKGB w sprawie powrotu do Polski. Ale jak to się zaczęło, to jeszcze powiem. Kiedy już byliśmy na tej wolności, mnie zaczęło coś korcić, że ja tak nie mogę bezsilnie czekać zmiłowania, ja powiedziałam, że ja muszę pójść do urzędu NKGB i dowiedzieć się czegoś. I rzeczywiście ruszyłam do gmachu na Workuty i powiedziałam, że jest mi wiadome, że jest porozumienie polsko-rosyjskie, na mocy którego Polacy mogą wracać do kraju. A skąd u mnie się wzięło takie przypuszczenie? Dlatego, że Niemki w jakiś sposób wracały do Niemiec. Ten się zdziwił trochę, ten urzędnik, ale powiedział, żebym się zgłosiła za tydzień, że on mnie wtedy dokładnie poinformuje, co po prostu w tej sprawie się dzieje. Za tydzień wyposażona w zmianę bielizny, w racje żywności, dokumenty odpowiednie, bo nigdy nie wiadomo było, co mnie tam czeka w tym NKGB, ruszyłam właśnie do tego urzędu, i dowiedziałam się, że jeżeli ktoś z rodziny w Polsce wystąpi, że weźmie mnie na utrzymanie, taką repatriantkę, to wtedy oni wydadzą zgodę. I wtedy właśnie dzięki Olkowi Zarzyckiemu, który był... który wychodził za zonę i miał jakieś kontakty, a późniejszy mąż Talii Zarzyckiej, z domu Wołodyńska, on miał już kontakt nawiązany ze swoją rodziną w Gdańsku. Napisał do swojej mamy, że znajduje się tutaj taka i taka, że nie ma kontaktów, bo moja mamusia, starając się przez Czerwony Krzyż, żeby dowiedzieć się, co się ze mną dzieje, miała wiadomość, że ja nie żyję, że ja zmarłam w obozie, ale matczyne serce w to nie wierzyło i jednak stale czekała na jakieś wiadomości, i właśnie Olek napisał do swojej mamy wtedy, do swojej rodziny, i ta pani Zarzycka dała taką informację, zawiadomienie w prasie gdańskiej - i może nie tylko gdańskiej - w każdym razie ukazała się taka notatka z poszukiwaniem kontaktów mojej rodziny Szantyrów. Moja mamusia, która lubiła czytać jednak prasę, z tej prasy się właśnie dowiedziała, że jest kontakt ze mną i wtedy zaczęła starania, i różne składała dokumenty, i załatwiała, ażeby uzyskać to pozwolenie na sprowadzenie tej zagubionej repatriantki tam, w Komi Republice. I w związku z tym właśnie, jak otrzymałam to zawiadomienie, jeszcze poczekałam trochę, bo ze mną wtedy, wierząc w moją szczęśliwą gwiazdę, kiedy dowiedziałam się, że moja mama... znaczy kiedy nawiązałam kontakt, również takiego kontaktu szukali jeszcze pan Świerczyński, to jest taki starszy pan, który był zresztą z trzeciej brygady Szczerbca i Staszek Duźniak, młody, z mojego wieku, z mojego roku chłopak, też jeszcze z tej brygady czy nawet z innej, bo on chyba nie, może też ze Szczerbca, w każdym razie oni też postarali się o to, żeby rodzina składała, więc jeszcze czekałam na nich, i oni też po tygodniu czy więcej otrzymali zawiadomienie, żebyśmy się zgłosili po odpowiednie dokumenty do tego gmachu. Myśmy wtedy ruszyli do NKGB - okazało

się, że trzeba po dokumenty, po paszporty wyruszyć do Syktywkaru, właśnie do stolicy Komi, że tam, i myśmy wtedy [polecieli] samolotem. To był straszliwy kukuruźnik taki, który tak hałasował, tak szumiał, że myśmy prawie nieprzytomni wylądowali tam w tym Syktywkarze, ale jakoś dolecieliśmy, choć w ogóle mówić nie mogliśmy, ja to w ogóle byłam jak głucha zupełnie. W każdym razie tam zalecieliśmy i dostaliśmy te dokumenty, paszporty pozwalające na wyjazd. Wróciliśmy do Workuty, zaczęliśmy się przygotowywać i uzyskaliśmy adres od jednej z też byłych więźniarek adres w Moskwie, gdzie moglibyśmy się zatrzymać, bośmy musieli jechać przez Moskwę, i wtedy nabyliśmy pewną walizkę. Jeszcze Wandzia Kiałko szła mnie kostiumik, żebym nie jechała w byle czym do Polski, to muszę powiedzieć, tak że ona tam pracowała w tej szwalni, uszyła mi taki kostiumik i ja w tym kostiumiku do Polski paradowałam. I tak ruszyliśmy. W Moskwie zatrzymaliśmy się...

Tomasz Piotrowski: Ale jeszcze pożegnanie, no jak to wszystko było?

Stefania Szantyr-Powolna: Ja nie pamiętam w szczegółach, ale żegnaliśmy się z wszystkimi zawsze z łezką, oczywiście z tymi wszystkimi, z którymi na co dzień mogliśmy się kontaktować, więc dużo było chłopaków właśnie z trzeciej brygady Szczerbca - tam był „Bosy”, tam był „Huta” z trzeciej brygady, których jeszcze w obozie zresztą spotkałam, potem był i Henryk Jasiński, Edek Wojtkiewicz, tam był jeszcze też Wladek Leśniewski, który potem taki bardzo rozrabiaka był, też w takiej egzekutywie zresztą w trzeciej brygadzie. Z Kiałko się nie spotkałam, bo oni później po tym, tak samo jak te pięcioraczki, które były nazwane, dziewczęta, które były w drugiej cegielni, tam, gdzie była Wandzia Kiałko. One dopiero po moim wyjeździe miały prawo wychodzenia, już właśnie te czasy się trochę zmieniły, miały prawo wychodzenia za zonę. Tak że to pożegnanie...

Tomasz Piotrowski: A Sabina Korejwo?

Stefania Szantyr-Powolna: Właśnie nie spotkałam się z nią, ale wiem, że była, tak. Tak samo Basię Skargę dopiero tutaj [spotkałam], ona tutaj u mnie w domu była zresztą, bośmy takie spotkanie tutaj kiedyś zrobili. No w każdym razie z wieloma, z kim tylko mogłam, to się żegnałam. To były rozczulające spotkania, naprawdę. To było coś niesamowitego. Takie adresy do rodzin miałam, żebym się potem skontaktowała - taki pan, który robił u mnie przedłużenie tej kanapki, żebyśmy miały gdzie pięty trzymać, jak tak leżałyśmy. On był stolarzem, to on przekazał mi zegarek, żebym przekazała synowi czy córce, już nie pamiętam, rodzinie, jakieś adresy, jakieś coś. W każdym razie te pożegnania były bardzo wzruszające. A potem w Moskwie ja chciałam zobaczyć, bo we mnie była też taka jakaś żyłka, że chciałam sporo zobaczyć i zwiedzić. Trochę pochodziliśmy po tej Moskwie, oglądając tę czerwoną płosząd' i to mauzoleum Lenina i tę katedrę, zresztą piękną - nie katedrę, nie katedrę, to jest sobór ten taki z pięknymi kopułami. Poza tym jeszcze chciałam zwiedzić muzeum, bo w tym czasie była wystawa Madonny Sykstyńskiej akurat i były tysięczne kolejki do wejścia do muzeum, ale pamiętam, rozmawialiśmy po polsku, gdzieś usłyszeliśmy polski język i tak chcieliśmy nawiązać kontakt, ale ten ktoś momentalnie uciekł, bał się tego kontaktu z nami. No i tak przyszedł dzień, gdzieśmy, mając już bilety, wsiedli do pociągu.

Tomasz Piotrowski: Ale byliście w ambasadzie polskiej, jak to się odbywało? Jakie papiery?

Stefania Szantyr-Powolna: Więc ja w ogóle sobie nie przypominam, chyba w ambasadzie jakieś pieczątki były potrzebne, ale to była taka urzędowa bardzo wizyta, która nie pozostawiła jakiegos specjalnego śladu w mojej pamięci, ale w każdym razie tam coś rzeczywiście załatwialiśmy. I potem dostaliśmy te bilety, mogliśmy zdobyć i wsiedliśmy do pociągu, który miał jechać przez Terespol. I muszę powiedzieć, jechaliśmy i niedaleko, gdzieś tak koło Terespolu, ja zobaczyłam nagle przez okno słup polsko-czerwony na granicy i przy tym żołnierza, który coś kopał koło tego słupa. Ja zobaczyłam ten słup, jak zaczęłam płakać. W ogóle przez tych jedenaście lat, które byłam tam - jedenaście lat byłam w końcu na... w tych moich uniwersytetach, to w ogóle nigdy nie było u mnie łez, ja myślałam, że chyba już nigdy nie będę umiała zapłakać. I wtedy nagle zaczęłam - to trudno powiedzieć „płakać” - ja zaczęłam tak szlochać, że w ogóle nie mogłam słowa wypowiedzieć. Jeszcze zatrzymaliśmy się na stacji, a tu ktoś biegł koło wagonu, krzychał: „Panie naczelniku!” po polsku. To powodowało po prostu niesamowity znowuż u mnie płacz. Wszedł celnik, żeby sprawdzić jakieś dokumenty, ale u mnie chyba nic nie sprawdzał, jak zobaczył, w jakim ja jestem stanie. I tak w zasadzie od tego Terespolu do Warszawy ja nie mogłam przestać płakać. Dopiero w Warszawie, bo pan Świerczyński mieszkał w Błoniu pod Warszawą, zaprosił nas, że my się tam zatrzymamy, dopiero z Warszawy zawiadomiłam moją mamę, że już jestem w Polsce i że przyjadę. Umówiliśmy się z mamą, ponieważ mamusia była wtedy u kuzynostwa w rejonie Tczewa gdzieś tam, umówiliśmy się, że w Tczewie na dworcu mamusia mnie spotka na peronie. Kiedy wsiadłam do pociągu w Warszawie w tym kierunku, to w ogóle wszyscy myśleli, że ja jestem niemowa, bo ja w ogóle nie umiałam na nic odpowiedzieć, ani w ogóle wydobyć z siebie głosu. Miałam zupełnie zawiązane gardło i dopiero kiedy w Tczewie pociąg się zatrzymywał, ja poprosiłam, żeby mi pomogli tę walizkę przez okno wystawić, otworzyli oni oczy wszyscy, że ja w ogóle mówię. Ja wzięłam tę walizkę, na peronie nikogo nie było, tylko w pewnej odległości szła do mnie jakaś staruszka. Muszę powiedzieć, że kiedy żegnałam się z moją mamusią, kiedy jeszcze byłam w domu, mamusia nie miała żadnego siwego włosa, a tu szła z białutką głową, moja mama. I chyba mnie nie poznała, przede wszystkim nie oczekiwała, że ja będę ubrana w coś, tylko myślała, że przyjadę zbiedzona, w jakichś takich łachmankach, a tu ja byłam w tym kostiumie przez Wandzię szytym. I kiedy zbliżyliśmy się na parę kroków, ja zawołałam: „Mamusiu!” To mamusia wtedy wyciągnęła ramiona, ja się wtuliłam w te ramiona i to było takie spotkanie z moją mamą wtedy. Po tym się dowiedziałam, że tatuś zmarł rok po moim aresztowaniu, że wciąż czekał na mnie. Wróciłam i właściwie wszyscy myśleli, że ja zechcę bardzo długo odpoczywać, ale ja byłam jakoś tak bardzo głodna, żeby się uczyć, tak bardzo chciałam studiować. Dałam sobie słowo, że będę lekarzem, chciałam się uczyć. Jeszcze przeniosłam się wtedy do Gdańska, tam w Akademii Medycznej też dzięki wielu życzliwym osobom znalazłam pracę w laboratorium, bo już miałam tę specjalność. Jeszcze poszłam do liceum, do ostatniej klasy, żeby sobie przypomnieć trochę i na następny rok - wróciłam w pięćdziesiątym piątym, a w pięćdziesiątym szóstym zdawałam egzamin na Akademię Medyczną. Całe szczęście, że ten okres to była ta odwilż, kiedy z okien Akademii wyrzucano marksistowską filozofię i temu podobne, i ja miałam jakąś taką ulgę w tych punktach, już nie pamiętam czego, ale zdawałam egzamin tylko z fizyki i z chemii wtedy, i zostałam przyjęta. To była dla mnie taka radość, że ja o tym pisałam, że kiedy znalazłam się na tej sali wykładowej, to mnie się chciało krzycheć z radości, że ja jestem na tej sali. Ja byłam starsza od moich kolegów, chociaż też było trochę starszych takich felczerów, którzy też przed tym nie mogli się chyba ze względu na jakieś punkty dostać, tak że trochę nas było tej grupy, ale niewiele. Wszystko to była ta młodzież o te dziesięć dobrych lat młodsza, ale miałam tak wspaniały z nimi kontakt, z niektórymi dotąd się porozumiewam. Dzisiaj nawet jedna z koleżanek, lekarka z Gdyni, dzwoniła do mnie, bo stale wydzwaniamy do siebie. Tak że studia moje były i ciekawe, i wzruszające. Zresztą miałam [stopnie] celujące - chyba byłam tak głodna [wiedzy],

że chłonęłam tę wiedzę tak bardzo dobrze.

Tomasz Piotrowski: Ano właśnie, jak się pani studiowało po tym wszystkim?

Stefania Szantyr-Powolna: Byli koledzy i wykładowcy zdziwieni, że ja dosłownie po jednym wykładzie pamiętałam, mogłam powtórzyć nieraz cały sens wykładu. Koleżanki to potwierdziły, bo jednego wieczoru myśmy się uczyły razem do egzaminu, chyba... już nie pamiętam z czego, i po tym myśmy razem znalazły się, zdawałyśmy egzamin u profesora, i ja dostałam pytanie dotyczące tego, co myśmy raz czytały tylko u mnie w domu, i one patrzyły z takimi oczyma, jak ja wszystko dosłownie słowo po słowie powtórzyłam. A trzeba dodać, że ja jeszcze musiałam pracować, bo ja poprosiłam, żeby mamusia do mnie przyjechała, ja dostałam taki pokoik też w jakimś domu, załatwiony przez Akademię, mieszkałam w tym pokoiku. Przyjechała mama i pracowałam, więc ja sobie godziłam wykłady z pracą, załatwiając pracę popołudniu albo zwłaszcza jak miałam pracownię, przecież miałam anatomię, tak że nieraz te ćwiczenia zajmowały czas, że ja nieraz z pracy wychodziłam o jedenastej wieczorem, koło dwunastej, bo musiałam tę pracę w laboratorium też zrobić. Ale miałam te celujące, rzeczywiście chłonęłam jakoś tak dobrze, miałam taką pamięć doskonałą, wyposzczoną chyba.

Tomasz Piotrowski: Czy trafiała pani na ludzi z Wilna, z Wileńszczyzny?

Stefania Szantyr-Powolna: Na studiach? Okazało się, że było parę osób, ale nawet o niektórych nie wiedziałam, że byli z Wilna, dopiero potem to się okazało, na naszych spotkaniach potem medycznych.

Tomasz Piotrowski: A profesorowie?

Stefania Szantyr-Powolna: A profesorowie to byli nadzwyczajni. To byli profesorowie jeszcze z Uniwersytetu Stefana Batorego z Wilna, tak że to byli wspaniali ludzie, naprawdę, i oni byli też przecież wszyscy w konspiracji. Tam spotkałam profesora Hillera, do którego zaniósłam list z partyzantki od jego syna, Janka. Przypomniałam sobie, nawet kiedyś jemu właśnie, jak to było, że przyszedłam do nich, otworzył mi drzwi profesor, ja powiedziałam, że mam list od syna i wtedy zaniemówił i tylko zawołał: „Marysiu!” - zawołał swoją żonę i przyszli, i ten list przekazałam.

Tomasz Piotrowski: Czy odczuwała pani coś w stosunku władz do siebie, jakąś opiekę bezpieczeństwa?

Stefania Szantyr-Powolna: Ach, proszę sobie wyobrazić, że po pewnym czasie, to bardzo krótko, dostałam zawiadomienie z konsulatu radzieckiego, że mam się stawić z dokumentami, a ja jeszcze nie miałam w ogóle ani paszportu polskiego, ani dokumentów żadnych. Ja byłam przerażona, bo zawsze się bałam tego kontaktu, i ja wtedy poszłam, to się nazywało Wojewódzki Urząd Gdański...

Tomasz Piotrowski: Wojewódzki Urząd Bezpieki?

Stefania Szantyr-Powolna: Nie, nie bezpieki. Udałam się do Wojewódzkiego Urzędu po prostu, w Gdańsku.

Poprosiłam o rozmowy z dyrektorem, czy to przewodniczący się nazywał, w każdym razie był nawet dosyć młody człowiek i ja przyszedłam do niego roztrzęsiona, przerażona i mówię, że wróciłam z obozu, że tutaj mam już załatwioną pracę w Gdańsku, że chcę się tu uczyć, bo jeszcze wtedy nie studiowałam, ale że chcę tutaj być, że tutaj jest mama, że... trochę swoje koleje powtórzyłam, ale nie mam żadnego dokumentu, który by poświadczył, że już tu jestem w Polsce, że w jakiś sposób jestem mieszkanką i obywatelką Polski. On tak słuchał mnie, potem zastanowił. Mówi: „Niech pani tu siedzi i czeka na mnie, i nie wychodzi stąd”. No więc siedziałam. Za chwilę przyszedł z fotografem, który zrobił mi zdjęcie. W dalszym ciągu mi nie pozwolił wychodzić z gabinetu. Zapytał o datę mojego urodzenia, gdzie ja byłam chrzczona. Ja powiedziałam, byłam chrzczona w kościele św. Rafała w Wilnie, i stamtąd mogę mieć tylko dokumenty, ale wszystko to spisał i po godzinie albo więcej przyszedł do gabinetu i przyniósł mi dowód osobisty, polski. Ja w ogóle zdębiałam. On mówi: „Proszę pani, i niech pani teraz w ogóle się w tym konsulacie nie pokazuje. A gdyby ktoś przyszedł, gdzie pani mieszka, to pani pokaże swój dowód osobisty, polski dowód”. Muszę powiedzieć, że po iluś tam latach już, to był ostatni rok studiów, ja poznałam swojego męża i wyszłam w pięćdziesiątym dziewiątym roku za mąż, i ślub brałam w Gdańsku, brałam w kościele, gdzie duszpasterzem był - to był kościół akademicki - natomiast ślub cywilny brałam w tym Urzędzie właśnie Wojewódzkim, i tam kiedy sprawdzano dokumenty, ja pokazywałam swój dowód, to oni byli przerażeni i szukali, [pytali]: „Na jakiej podstawie pani dostała dowód, bo my nawet pani metryki urodzenia nie mamy”. I wtedy ja właściwie zaczęłam załatwiać, załatwiałam te dokumenty, załatwiać, żeby otrzymać tę metrykę urodzenia i dopiero im ją dostarczyłam. Ja nie wiem, jak ten wtedy człowiek się znalazł i co on poczuł, że on mnie uratował. Uratował.

Tomasz Piotrowski: A czy na granicy pani nie dostała nic od PUR-u?

Stefania Szantyr-Powolna: Nie, ja dostałam kartę repatriacyjną tylko. Tę kartę miałam. Ale w ogóle to powiedzieli, że okres repatriacji prawie już się zakończył, dlatego tam nie wiem, jakieś ekwiwalenty takie, że coś tam należało, czy tam z PUR-u czy z czego już nie, ale tę kartę repatriacyjną jeszcze gdzieś mam w dokumentach, w tych teczkach nawet, które tu chyba wyciągnęłam.

Tomasz Piotrowski: To proszę pilnować tego.

Stefania Szantyr-Powolna: No tu na pewno pilnuję, bo szukając tej przepustki do oddziału wtedy, którą podpisał ten dowódca „Czarny”, tej 13. brygady, „Nietoperz”, to gdzieś, nie wiem, gdzie ją mam. Mam tylko list, który po tym pisałam do „Nietoperza”, bo jak miałam pierwszy wywiad taki, właśnie mówiłam z tym redaktorem Falińskim, to on zaraz po mnie za parę dni miał jechać właśnie do tego „Nietoperza”, to był pan, Walczak się chyba nazywał, mówił: „Bo ja mam z nim wywiad umówiony”. Ja mówię: „Wie pan, ja szybciotko napiszę list do niego, że go tak pozdrawiam, że tak pamiętam, że wtedy tę przepustkę wypisał”. Tak że ja rzeczywiście tę kartę repatriacyjną mam. No w każdym razie tak zaczęłam studia, tak wyszłam za mąż. Mój mąż był wspaniałym człowiekiem, jego ojciec, Powolny, prowadził konspirację w Opolu, za co był aresztowany przez Niemców i po tym stracony w Niemczech pod gilotyną. Ulica w Opolu jest imienia Powolnego na tę cześć, bo on tam prowadził [konspirację]. Jego żona, a moja teściowa, prowadziła tam też harcerstwo, tak że mój mąż też był synem z takiej rodziny bardzo patriotycznej i oddanej Polsce. Urodziłam pierwszą córeczkę po dwóch latach, która zmarła, ale po tym urodziło mi się jeszcze dziecię, syn

i córka, który dotąd są, i syn mieszka pod Warszawą, córka studiowała w Finlandii i tam wyszła za mąż i tam niestety jest po rozwodzie, ale musiała... nie może wyjechać z Finlandii, zanim dzieci nie uzyskają pełnoletności, bo inaczej mąż by ją z policją ścigał tu w Polsce, takie są zasady. Ale muszę powiedzieć, że całe moje życie, kiedy tak oglądam się do tyłu, to widzę, że było ogromnie ciekawe, że ja spotkałam tyle wartościowych ludzi i wartościowych w obozie, bo tam w zasadzie każdy charakter był obnażony z jakiejś takiej otoczki, z jakiejś konwencji. Po prostu tam widać było i ludzi tych szlachetnych, dobrych, i tych takich, którzy naprawdę reprezentowali okropne dno, okropny... przecież tych kryminalistów. Ja nieraz słuchałam ich opowiadania, myśląc, że oni opowiadają jakieś książki, a oni opowiadali z życia swoje szczegóły, dotyczące, jak oni mordowali ludzi. To było coś niesamowitego. Także tych ludzi serdecznych, którzy chcieli pomóc, którzy chcieli rozmawiać, którzy szanowali tę naszą pracę i to oddanie naszej Polsce, że myśmy chcieli tę Polskę. Te osoby, które spotykałam w partyzantce, w konspiracji - ta wspólna praca, ta wspólna ta idea, która Bóg, honor, ojczyzna nam przyświecała, to było coś wspaniałego, to były takie wartości. Ja już kiedyś mówiłam o tym, że o tym nigdy dość mówić, bo to są wartości takie niezwykle - ta postawa, te wartości wyniesione z domu, te podstawy najwyższych wartości, to umiłowanie ojczyzny, które wyniosło się z domu, te właściwie... ta postawa, która pozwoliła przetrwać to wszystko, żeby się nie załamać, chociaż wielu zginęło na tej drodze, niestety, Nawet nie wiemy, gdzie są ich nieraz mogiły, ale o tym warto mówić, bo wydaje mi się, że jak w „Kwartalnikach” zresztą starałam się też, żeby uchronić to od zapomnienia, jakoś te wysiłki, te walki, żeby ta ojczyzna była. I teraz, kiedy mamy tę wolną [Polskę], to tak bym chciała, żeby ta młodzież się cieszyła tym, co ma, żeby nie przyszły czasy jakieś niepokoju, żeby to trwało jakoś, to szczęście.

Tomasz Piotrowski: A czy później czuła pani opiekę władzy ludowej? W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych?

Stefania Szantyr-Powolna: Nie, nie, nie, nie, aż tak to nie, nie sięgajmy. Nie, nie. Nie mogły. Przez pierwsze lata w ogóle... raczej nam mówiono, żebyśmy w ogóle nie mówili za dużo o sobie, żebyśmy o sobie w ogóle nie mówili. Ja przypominam sobie, znaczy koledzy mnie nieraz na studiach, to już znacznie później, ale przypominam sobie na przykład takie ćwiczenie, już nie pamiętam, z czego to było, ale jakieś ćwiczenie z jakiejś dyscypliny - czy to była chirurgia, czy to była inna dyscyplina, nie pamiętam - i była taka młoda asystentka. Mnie czasami... ja długo się zastanawiałam, kiedy odpowiadałam, czy w kolokwium, jak zastąpić słowo, bo na przykład mnie się kojarzyła medycyna ze słownictwem rosyjskim raczej i nieraz ja szukałam słowa i wówczas koleżanki mówiły, że koleżanka wróciła, właściwie była tam tyle lat w obozie, tam ciężko pracowała, i na to ta asystentka powiedziała: „Tak, wyście w tych obozach to sobie odpoczywali, a myśmy w tym czasie męczyli się, żeby odbudować ojczyznę”, więc taki był nieraz stosunek. Ale to raz mi się zdarzyło tak usłyszeć. Proszę państwa, więc ja pamiętam jeszcze z domu rodzinnego mnóstwo piosenek i między innymi też taką piosenkę, która tylko była śpiewana w domu moim rodzinnym, rodzicielskim właśnie, przez to starsze pokolenie, bo tak jak wspominałam, przychodzili koledzy mojego taty i zaczynały się różne pieśni, począwszy od „Gaudeamus”, między innymi była ta „Pularda” i jeszcze inne różne wojskowe pieśni, i stąd jedną zwrotkę jakoś tej „Pulardy” zapamiętałam. Jeżeli mam ją powtórzyć swoim w tej chwili trudnym głosem, no to spróbuję: „Dobra była ta pularda, ta pularda, ta pularda, ani miękka, ani twarda, ani twarda, w sam raz”.

Tomasz Piotrowski: Ale co to była „pularda”?

Stefania Szantyr-Powolna: Pularda to była kura, i ta kura właśnie była jakimś takim widocznie przysmakiem, i kiedy ona była nie za miękka, nie za twarda, a w sam raz, no to dogadzała wszystkim, a śpiewana może była dlatego jeszcze, że mój tatuś należał do Związku Myśliwych i nieraz myśliwi się spotykali, i tam na temat bigosu też myśliwskiego były pieśni, no i o tej pulardzie były też.

Tomasz Piotrowski: A jakieś piosenki wileńskie, takie, które są charakterystyczne, były dla tamtego czasu? Co się najczęściej wtedy śpiewało właśnie w Wilnie? Czy pani pamięta?

Stefania Szantyr-Powolna: Muszę powiedzieć, że w Wilnie śpiewało się... no, jak spotykaliśmy się to takie bardzo głęboko poruszające, to były „Nie rzucim ziemi”, „Za Niemen hen, precz”. To były pieśni jeszcze z poprzednich powstań styczniowych przecież przeniesione. W tej chwili do głowy mi nic nie przychodzi takiego rodzaju takich śmiesznych jak w Warszawie była „Siekiera, motyka”, prawda, nawiązujące do okupacji niemieckiej, tak że tego typu ja nie przypominam sobie, ale mówię, to były patriotyczne, „Wojenko, wojenko”, „Przybyli ułani”, „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”, który zawsze się przewijał, bo kiedyś te bale polskie to były właśnie kończące się mazurem rano i to był chyba ten „Jeszcze jeden mazur dzisiaj” grany wtedy. Tak że raczej ja przypominam [sobie] tego typu, bo nie będę wspominała o piosenkach szkolnych, prawda, które już wiązały się wyłącznie z dzieciństwem i ze szkołą. Tak że takich typowych dla tego okresu w Wilnie, odtwarzających atmosferę, powiedzmy, tej okupacji to nie, to tego nie pamiętam.

Tomasz Piotrowski: A przedwojenne, takie typowe, no bo mówi się o typie wileńskim także.

Stefania Szantyr-Powolna: Nie, no to powtarzam: u mnie w domu rodzinnym to właśnie były te patriotyczne. To się nazywało, że to są typowo polskie, typowo wileńskie.

Tomasz Piotrowski: A ulica śpiewała, jak to na przykład...

Stefania Szantyr-Powolna: Słucham?

Tomasz Piotrowski: Ulica, czy śpiewała? Przed wojną, mówię o okresie przedwojennym.

Stefania Szantyr-Powolna: Przed wojną tak, tak...

Tomasz Piotrowski: Czy tam się tak działo?

Stefania Szantyr-Powolna: W ogóle mnie się wydaje, że społeczeństwo brało jakoś bardzo taki żywy udział w różnych uroczystościach, począwszy od tego, że jak wojsko szło w niedzielę do kościoła, no to młodzież biegła już po chodnikach, młodzież biegła i próbowała dotrzymać tego kroku, bo wojsko szło, tak że już wtedy cała ulica żyła i młodzież tym wojskiem. Przy różnych takich innych jakichś uroczystościach to też śpiewała, odśpiewanie gdzieś pomników czy coś takiego, tak że śpiewała. No już potem w okresie wojny to już tym bardziej, ale za każde takie

śpiewanie już w czasie okupacji to myśmy byli rozganiani, bici pałkami, tak że tutaj trochę ryzykowaliśmy zawsze, ale uciekaliśmy potem zwinnie spod takich różnych nagonek.

Tomasz Piotrowski: Jeszcze chciałem zapytać, a pani mówiła o tym, że policjanci litewscy rozganiali wiernych z kościołów.

Stefania Szantyr-Powolna: Tak, tak.

Tomasz Piotrowski: Co oni krzyczeli, oni coś krzyczeli? Czy oni coś mówili? Czy pani pamięta?

Stefania Szantyr-Powolna: No ja tego nie wiem, coś tam po litewsku pewno krzyczeli, ale... coś tam krzyczeli, ale mieli te duże pałki, zresztą ubrani byli w takie stroje jak nasze historyczne prawie, wysokie czapki. Tak ich żartobliwie nazywano „kałakutasy”. „Kałakutas” to jest „indyk” w ogóle po litewsku, i tych właśnie wojskowych, każdy miał prawie dwa metry wzrostu, to była ta Sauguma, tak że to była... Nawet baliśmy się, znaczy mówiliśmy, ale baliśmy się mówić po polsku, bo jeżeli nas kilka osób szło i mówiło po polsku, to też już to było właściwie podstawą do tego, żeby oni zaatakowali.

Tomasz Piotrowski: Jeszcze może parę zdań by zechciała pani powiedzieć à propos tego wszystkiego, o czym rozmawiamy i à propos mojego ukochanego bohatera, Stanisława Kiałki. Pani pisała pracę doktorską o wpływie długotrwałego stresu na człowieka. Nasz bohater był w długotrwałym stresie właściwie do końca życia, bo żył lat sześćdziesiąt dziewięć i z tego niemal czterdzieści żył w długotrwałym stresie. Jakiego typu to musiała być osobowość? Ten człowiek się nie zmienił do końca życia, był zawsze taki sam, od młodości do śmierci.

Stefania Szantyr-Powolna: To zależy na pewno przyjmowanie stresu, reagowanie na stres. Na pewno zależy od osobowości człowieka. Od strony medycznej to ja mogę powiedzieć, jakie wartości wzrastają - że wzrasta cholesterol, bo to udowodniłam, prawda, u osób narażonych na stres przewlekły, co prowadzi, do jakich zmian naczyń wieńcowych, i już wszystko to wiemy, bo teraz każdy Polak jest lekarzem i wszystko wie na ten temat. Natomiast jeżeli chodzi o osobowość, to trudno powiedzieć, wydaje mi się, że to już jest coś, co się narodziło razem z nim - to była jego osobowość, którą wyniósł chyba jeszcze z łona mamy, prawda? Że się urodził człowiekiem pogodnym, optymistą na pewno, i ten stres, który był w pewnym momencie bardzo taki szokujący, był też uskrzydający w pewnych momentach konspiracji, bo ten stres może powodował tę adrenalinę, która pozwalała się nie bać tak bardzo i decydować się na nieraz takie nierozważne nawet kroki, tak że wydaje mi się, że stres nieraz był pozytywny, bo jak przypominam, to nie można było powiedzieć o naszej młodzieży, się nikt nie bał, jak szedł do jakiejś walki czy do jakiegoś zadania - wszyscy baliśmy się, ale to była motywacja. Była motywacja, że w jakimś celu działamy, i te nasze strachy, te nasze obawy były właściwie jak gdyby wy tłumaczane tym, co my chcemy zrobić. Myśmy robili na pewno małe rzeczy, bo każdy z nas był jakimś małym kółkiem w tym mechanizmie, ale zdawało nam się w pewnych momentach, że my dokonujemy bardzo ważnych rzeczy, że każde przyniesienie meldunku na jakieś stanowisko, że każde przeniesienie broni to nieomalże to jest najważniejszy moment w tych całych dziejach tej historii, a żeby ta Polska wróciła, i wydaje mi się, że jeżeli chodzi o osobowość Kiałki, która była wyjątkową osobowością, która pozwoliła mu organizować -

on przecież zorganizował całe to zgrupowanie „Kóz”, dziewcząt, które były łączniczkami bardzo dzielnymi, zresztą prawie wszystkie były aresztowane, ale każda miała swoje bardzo wielkie przeżycia. On w ogóle wymyślał przeróżne rzeczy, był w ogóle bardzo zdolny - potrafił rysować, manipulować, konstruować. On w pewnym momencie nawet jakieś takie z glinki robił rzeczy, granaty robił, inne tam sidolki tak zwane, tak że on był wyjątkowo uzdolnionym człowiekiem w ogóle, a przy tym wszystkim był niezmiernie sympatyczny, oddany, kochany. Zresztą nie wiem, czy pan wie, że on na początku był klerykiem. Tak.

Tomasz Piotrowski: Dwanaście lat.

Stefania Szantyr-Powolna: Tak, tak że był mocno wierzący, mocno właściwie kochający dobro, i to mu przyświecało, tak że myślę, że ta jego i dobroć, i to wyciszenie, ten spokój, opanowanie chyba było też, miało te podstawy jakiejś głębokiej wiary i takich predyspozycji w tym kierunku.

[KONIEC NAGRANIA 00:58:30]